

Popioły Equestrii

Rozdział 7

Autor: DJSzklaz

Pre-reading: Foley

Korekta: Silma, Gandzia

Samotny wartownik wdrapał się po wyrobionych, wąskich i śliskich białych schodach na szczyt wysokich murów. Lubił poranną zmianę, czuł się wolny i spokojny, spoglądając z wysokości na wciąż jeszcze śpiące ulice Canterlotu. Szerokie, porośnięte po bokach niskimi drzewami arterie, zazwyczaj pełne rozgadanego, podążającego we wszystkie strony tłumu i niezliczonej liczby kramarzy zachwalających na całe gardło sprzedawane towary, były ciche, puste. Delikatny wiatr przewalał po marmurowych płytach traktu książęcego tysiące opadłych, zbrązowiałych liści, których nikt uprzednio nie sprzątnął. W oknach kamienic stojących przy ulicy prowadzącej do samego pałacu nie poruszał się nawet najmniejszy cień. Podobnie było w biedniejszych dzielnicach metropolii. Wąskie, kręte uliczki, zazwyczaj pełne rozwrzeszczanych, brudnych i kręcących się pod nogami żrebaków, były spokojne, śpiące.

Strażnik potoczył wzrokiem po mieście, którego zaraz miał zacząć strzec. W centrum, rozciągającym się okrężnie wokół szerokiego rynku, w niebo wznosiły się najpotężniejsze i najwspanialsze kamienice. Zazwyczaj białe, obłożone marmurowymi płytami lub zwyczajnie tynkowane, budziły zachwyt przyjezdnych i napawały dumą canterlotczyków. Trzy- i czteropiętrowe, bogato rzeźbione fasady górowały nad przechodniami na podobieństwo wiszącej nad stolicą góry. Każda kamienica obowiązkowo zwieńczona była wysoką attyką, mającą powstrzymać ewentualnie rozprzestrzeniający się po mieście ogień. Mieszkańcy ewidentnie postanowili prześcigać się w fantazyjności swych attyk, wyprowadzając je nieraz na dobrych pięć metrów ponad szczyt dachu i ozdabiając niezliczoną liczbą płaskorzeźb, układających się w najróżniejsze sceny, począwszy od historycznych i legendarnych, a skończywszy na krajobrazowych. Przy co większej kamienicy w niebo pięła się śnieżnobiała wieża, rzucająca cień na szerokie, brukowane ulice. W dawnych czasach używano ich do obrony przed będącymi na porządku dziennym wojnami między najpotężniejszymi rodami. Dziś pozostały jedynie jako budzący respekt dowód burzliwej przeszłości Canterlotu.

Dalej od centrum rozciągały się biedniejsze dzielnice, sięgające aż pod same mury miejskie. Budynki były o wiele niższe, jedno- i dwupiętrowe, nie miały w sobie nic ze świetności wielkich kamienic przy rynku. Może z wyjątkiem koloru, tutaj także dominowała biel, jednakże próżno byłoby szukać marmurów czy rzeźb. Proste fasady tynkowano na biało, czasem z dodatkiem błękitu czy żółci wokół okien i drzwi. Dwuspadowe dachy kryto bez wyjątku czerwoną dachówką. W tej części miasta ulice nie były brukowane. Z daleka widać było brązowiejące błoto i bród, który pod wpływem często przetaczających się nad

Equestrią burz zamieniał się w istne bagno. To właśnie w tych dzielnicach najczęściej wybuchały pożary, których tak bała się zamożna część miasta.

Ogier rażno ruszył przed siebie, przemierzając długi odcinek muru w stronę swojego zwyczajowego posterunku, Baszty Młynarzy. Swą nazwę wzięła od znajdujących się u jej stóp trzech starych już, kamiennych młynów wodnych. To właśnie cech zajmujący się wytwórstwem mąki miał za zadanie obronę tej części fortyfikacji. Miał za zadanie, ale nie bronił. Większość mieszkańców opuściła stolicę przed kilkoma miesiącami, kiedy na miejsce lokalnego watażki, niejakiego Silver Eye'a, przybył Marvelous. Jego silnie militarystyczne zapędy oraz nieciekawa przeszłość w połączeniu z panującą w całym kraju niepewnością jutra była dla większości canterlotczyków wystarczającą motywacją do jak najszybszego wyjazdu.

Ogier pamiętał, jakby to było dziś, setki kucyków wychodzących przez bramy, na mroczny, wrogi świat, ciągnących za sobą cały dobytek, wrzeszczących, płaczących i śmiejących się na cały głos. Razem z nimi wymaszerowała też część wojska przebywająca do tej pory na służbie Silver Eye'a. Większość z nich przepadła później bez wieści, kiedy ich kapitan rozwiązał kompanię, reszta wróciła pod mury miasta i zaciągnęła się na powrót, tym razem pod sztandar Marvelousa.

Koniec końców Canterlot opustoszał, wiele budynków stało zupełnie pustych, w tym owe młyny. Ich właściciele byli na tyle bogatymi kucykami, by bez problemów przenieść się na czas nieokreślony na dużo bezpieczniejszą północ, a zbyt biedni, żeby zostać w mieście i liczyć na zajęcie jakiejś wysokiej pozycji urzędniczej. *Pieniądz rządzi światem...* Strażnik pokręcił głową. Od pewnego czasu coraz częściej zastanawiał się, czy pozostanie w zajętej przez rebeliantów stolicy było najlepszym pomysłem. Władza wprowadzić się zmieniła, ale zwykły szary obywatel nie odczuł tego zbyt boleśnie. Owszem, podatki poszły w górę, jednak on jako obrońca miasta i tak był z nich zwolniony. Z drugiej strony służył teraz komuś, kto wystąpił przeciwko niepodważalnej władzy księżniczek, zdrajcy.

To wszystko jednak było nic w porównaniu z najświeższym z argumentów. Stojące pod murami wielotysięcznej armii.

Żołnierz przekroczył wysoki, obtłuczony próg wieży i ruszył poskrzypującymi drewnianymi schodami na najwyższą kondygnację. Ze świstem wciągnął doskonale znany mu zapach drewna i wilgoci, wiszący w powietrzu już od wielu lat.

Powoli wszedł na najwyższe piętro, otoczone wysokimi blankami z wbitym na środku masztem i powiewającą nań chorągwią rodu Ardent, rodu, którego przedstawiciel uciekł z pola bitwy i zostawił miasto samemu sobie. Czemu tedy się nie poddali? Czemu nie otworzyli bram i nie wpuścili na powrót księżniczek do ich starej stolicy? Przez radę miasta. Była na wskroś przesiąknięta jeśli nie samymi krewnymi Marvelousa, to przynajmniej jego sprzymierzeńcami. A przecież przed wyjazdem namiestnik wyraźnie zakazał poddawać miasto. Strzegący zaś murów najemnicy zeszliby ze stanowisk dopiero po wyczerpaniu się żołądu. Obrońców, którzy wątpili w słuszność obrony było niewiele i nie mieli wiele do powiedzenia.

Żołnierz podszedł do krawędzi wieży i spojrzał na przedpole. Po lewej ujrzał obóz nieprzyjaciela, setki kolorowych, pasiastych namiotów, z góry wyglądających jak sporej wielkości miasto. Był sam na posterunku, w mieście było zbyt mało żołnierzy, żeby szczerwie obsadzić cały pierścień fortyfikacji, dlatego też większość strzegła odcinka dokładnie na wprost obozującego wroga. To aż się prosiło o podstęp.

Strażnik z zaciekawieniem wychylił się jeszcze bardziej poza krawędź muru. Nie widział przeciwnika idealnie, wystająca z sąsiedniej wieży hurdycja zasłaniała część widoczności, mimo to zdało mu się, że obóz jakby nieco się zmniejszył w porównaniu z poprzednim dniem. Z niepokojem rozejrzał się dookoła, jakby w poszukiwaniu kryjących się w odległym lesie legionistów. Nie dostrzegł nikogo. Nie. Niemożliwe. Atak na pewno nastąpi na Bramę Czerwoną, każdy przecież wiedział, że to najsłabszy punkt obrony miasta. Tak, nie ma się czym martwić, szturm nastąpi właśnie tam i załamie się, napotkawszy naszą skomasowaną obronę. I małą niespodziankę. Nie ma się czym...

Jak zwykle zaczął krążyć od jednego skraju baszty do drugiego, pogwizdując pod nosem melodię zasłyszaną poprzedniego dnia od wyjątkowo posępnego trubadura. Wsłuchany w miarowy łopot chorągwi rozmarzył się, wyobrażając sobie kąpiącą się w jeziorze córkę kramarza Stouta. Do jego uszu doszedł dźwięk skrzydeł. Podniósł wzrok i zmrużył oczy, oślepiony światłem wschodzącego słońca. Z koron pobliskiego lasu zerwały się do lotu tysiące ptaków, tworząc w powietrzu istną czarną chmurę. *Coś musiało je wystraszyć...*

Nad miastem rozbrzmiał nagle odgłos grającego rogu i miarowe, odległe, nieprzyjemnie złowrogie dźwięki bicia w bębny. W wielkie bębny oblężnicze. To był sygnał do ataku! Żołnierz rzucił się w stronę krawędzi i po raz kolejny wychylił, patrząc na nieprzyjaciela. Gęste obłoki kurzu uniosły się w okolicy Bramy Czerwonej, przysłaniając rozbite w lekkim oddaleniu namioty. Nad Canterlotem rozbrzmiały dziesiątki dzwonów alarmowych, porozwieszanych na wszystkich wyższych budowlach miejskich. W tym i na basztach.

Strażnik potrząsnął głową i podbiegł do ustawionego po przeciwnej stronie wieży stojaka i podczepionego do niego niedużego dzwonu. Złapał zębami za zwisający smętnie sfatygowany sznur i szarpnął, ciągnąc do siebie. Jak wszyscy, to wszyscy. Przez rozchodzący się ponad miastem koncert alarmowy dobiegły naraz do uszu strażnika głosy. Krzyki dziesiątek kucyków, obrońców i atakujących, którzy najwyraźniej już spotkali się na murach. *Czemu mnie tam nie ma?! Koszmarne uczucie bezsilności załatał ogiera, odbierając wszystkie pozostałe myśli. Świadomość, że gdzieś tam giną jego towarzysze, a on sam sterczy na szczycie jednej z dziesiątek podobnych wież i tylko się przygląda. Czy tak będzie wyglądała cała moja dzisiejsza walka? Nie! Muszę się wykazać!* Wszystkie jego dotychczasowe obiekcje na temat sensowności obrony miasta zniknęły, kiedy uzmysłowił sobie, czego częścią właśnie się stał. I co właśnie mija go o włos, nie dając się schwytać. Możliwość wykazania się na polu walki. Coś, czego od zawsze pragnął. I musi obserwować całą walkę z daleka, nie mogąc opuścić posterunku. Zaklął plugawie. To było niesprawiedliwe.

Nagle usłyszał nowy odgłos. Dużo bliższy. Dźwięk setek i tysięcy kopyt maszerujących w jego stronę, w miejsce praktycznie w ogóle niebronione. Odwrócił się i poczuł, że żołądek podjeżdża mu do gardła. Z nieco oddalonego lasu wychyłyły trzy kolumny legionistów, idących w równych szeregach prosto w stronę jego wieży. Wieży, której bronił całkowicie sam... Naraz uczył, że chciałby się znaleźć gdzieś daleko, jak najdalej od bitewnego zgiełku. Jeszcze nie zdążył wyjąć miecza, a już żałował, że przed pięcioma laty wybrał karierę żołnierza miast piekarza, jak jego ojciec.

Odgłos wybijających takt bębnow podrażnił jego uszy, zachwiał resztkami odwagi, omal nie doprowadził do szaleństwa. Zaczął już rozpoznawać pojedyncze sylwetki. Widział maszerującego na przedzie kucyka, chyba jednorożca, prawdopodobnie dowódcę całej grupy, widział połyskujące w słabym świetle wschodzącego słońca pancerze legionistów i sterczący w niebo las włóczni. Jednak dobrze mu się wydawało, że obóz zmniejszył się od poprzedniego dnia. To ta armia miała zająć miasto, nie ci pod Bramą Czerwoną. I nie licząc garstki najemników, nikt nie stał im na drodze do pokonania murów obronnych.

Podszedł na chwiejnych nogach do krawędzi wieży i spoglądając w dół na rozwijające swe szyki wojska księżniczek, oparł się o blankę, oddychając ciężko. Powędrawał kopytem do pasa i wpiął z trzaskiem miecz w chwytak. Stawi im opór, nieważne jak wielką mieliby przewagę, stawi go, a jeżeli będzie trzeba, to polegnie!

Tymczasem nad Bramą Czerwoną zaczęły już krążyć pierwsze pegazy, dopiero teraz rozpoczynając tam walkę. W niebo poszybowały strzały i dziesiątki krzyków, jęków i klątw, gdy pierwsze trupy legły na szczycie białego muru. Miętowy pegaz z rozwianą złotą grzywą dopadł powiewającą nad bramą chorągiew i szybkim cięciem miecza posłał ją w dół, prosto do brudnej fosy. Kolorowa tkanina opadła delikatnie ku podstawom fortyfikacji, a dotknąwszy mętnej toni, skuliła się jakby z obrzydzeniem i strachem. Jej purpurowo-czerwone barwy zaraz zastąpiła jednolita, ordynarna szarość.

Tego jednak samotny strażnik już nie dostrzegł. Wystrzelona przez niebieskiego jednorożca strzała ugodziła go w pierś, przeszywając pancerz i wbijając się prosto w serce. Żołnierz padł bez życia na zimne deski szczytu Baszty Młynarzy. Krew wartkim potokiem rozlała się wokół, tworząc czerwoną plamę, wdzierając się między szczeliny w drewnie, skąd nie miała być już nigdy wydobyta. Ogier poległ, nie zabiwszy nawet jednego przeciwnika, nie dowiodłszy swojego bohaterstwa, nie ocaliwszy miasta przed armią księżniczek. Nie posmakował nawet prawdziwej walki.

Tymczasem na przedpolu inny ogier kraśniał z dumy, słysząc głębokie słowa uznania samej generał Yellow Spark nad jego niecodziennym talentem strzeleckim.

Lighting Contrail stała na skraju obozu i patrzyła na rozwijające swe szyki oddziały 1 i 4 Legionu. Gwar wydawanych komend zagłuszył nagłą eksplozję canterlockich dzwonów alarmowych. *Dobrze, niech wszyscy się o nas dowiedzą!* Klacz z mieszanymi uczuciami

zaczęła wydawać kolejne komendy poszczególnym kohortom i rozstawiać je w obmyślanych poprzedniego dnia pozycjach. Miała, jak się okazało, całkiem sporo czasu na przemyślenie wszystkiego przed samym atakiem.

Oczywiście nie udało się przypuścić szturmowi jak chciały księżniczki, następnego dnia po rozbiciu obozu. Dwie kohorty 3 Legionu zagubiły się podczas podróży i dotarły z prawie dwudziestogodzinnym opóźnieniem. Obóz był źle zorganizowany logistycznie, oddziały, które miały następnego dnia pod dowództwem Yellow Spark przypuścić rzeczywisty szturm na miasto, musiałyby przedrzeć się wpierw przez gęszcz gęsto upakowanych namiotów, budząc zrozumiałe zainteresowanie ze strony obserwujących ich przeciwników. Sami legioniści też nie wykazywali się szczególnym zapałem do natychmiastowego ataku. Lighting przypuszczała, że większość liczyła na możliwość uprzedniego złupienia okolicy, a dopiero później na ewentualny szturm. Nie pomogła nawet wizja dziesiątków opuszczonych posiadłości, kapiących niemal od wszechobecnego złota i drogocennych kamieni, które wciąż jeszcze zalegały w większości kamienic. Żołnierze zwyczajnie potrzebowali odpoczynku.

Klacz pokręciła głową. Z jednej strony cieszyła się, że wróci do swojego dawnego domu, ale z drugiej... Zbyt dobrze pamiętała, co stało się jej rodzinie. Teraz to miasto kojarzyło jej się tylko z jednym, ze śmiercią. Co gorsza, ostatnio coraz częściej nawiedzała ją niepokojąca zjawy, namawiająca, jeśli nie wręcz zmuszająca do spalenia całej metropolii jako siedziby najgorszej equestriańskiej swołoczy. *Spal Canterlot do gołej ziemi. Pomścij nas!* Coraz bardziej bała się zjawy, bała się, że pod jej wpływem zrobi coś bardzo złego.

Miasto, mimo widocznych stąd czarnych śladów pozostałych po licznych pożarach, wyglądało wspaniale. Wyrastało z ziemi niczym śnieżnobiała góra i pięło się niesłychanie wysoko, jakby chcąc czubkami wież dotknąć przelatujących po niebie chmur. Złociste iglice, zakończone wciąż kolorowymi mimo licznych nadpaleń flagami, świeciły odbijanymi promieniami wschodzącego słońca, potęgując niesamowity wygląd stolicy.

Jej punkt dowodzenia stanowił niebiesko-biały pasiasty namiot, rozbity tuż za granicą obozu, idealnie przed czerwieniejącą złowieszczo na tle białych murów Bramą Czerwoną. Miała stąd idealny widok na fortyfikacje miasta, niezakłócony żadnym budynkiem, żadnym drzewem. Tylko ona, fortyfikacje i niemal dziesięć tysięcy legionistów czekających z niecierpliwością na rozkaz do ataku.

Wokół Lighting Contrail zgromadził się już cały jej sztab, kilku podoficerów i całe mnóstwo gońców. Stojący gdzie bądź młodzi żołnierze z wytęsknieniem czekali sposobności do wykazania się na polu bitwy. Do zaprezentowania swej niekwestionowanej szybkości i zwinności, którą imponowali całej reszcie legionistów, a zarazem wzbudzali olbrzymią zawiść, będącą nieraz źródłem wielu docinków, jakoby nie nadawali się do niczego innego jak tylko uciekania z pola walki pod skrzydła dowódców. Lighting była bardzo rada ich licznej obecności, byli gwarantami sprawnej komunikacji oddziałów z generalicją, a to z kolei przekładało się na efektywność i szybkość działania. A ta ostatnia była na polu bitwy niezwykle istotna.

Tak, klacz cieszył widok gońców, za to bardzo martwiła obecność pewnego podstarzałego pegaza, wyniośle spoglądającego na przyszłe pole bitwy. Typhoon od samego rana dawał jej do zrozumienia, że ma absolutnie gdzieś jej rozkazy względem podległych mu turmai. Obrzucając cały świat pogardliwym uśmieszkiem, układał już w głowie własny plan zdobycia miasta. Nie będzie się tylko bezproduktywnie przyglądał, jak Yellow Spark do spółki z Sandstormem na własne kopyto zdobywają Canterlot, a jego pegazy mają w najlepszym razie poudawać, że walczą i wkroczyć do już opanowanego miasta. Nawet nie chciał sobie wyobrażać, jak nieprzyjemne miałyby to konsekwencje dla reputacji jego i całego rodu Daybreak. Już słyszał w głowie oskarżenia, jakoby sam unikał walki i krył się za plecami Lighting Contrail, a do tego nie mógł przecież dopuścić. Jego reputacja musiała być jak najwyższa, jeśli chciał zrealizować wszystkie swoje plany, a tych miał dużo.

Legiony ziemne rozwinęły swe szyki, ustawiając się równolegle do białej ściany canterlockich murów i strzegącej jej od zewnątrz brudnej, lekko parującej fosy. Z samego przodu stała kohorta karna, mająca poprowadzić pierwsze uderzenie. Nieciekawa banda złożona w głównej mierze z dezterterów, rzadziej z niesubordynowanych żołnierzy trzymała na grzbietach sporej wielkości bele siana. Oddział miał za zadanie zasypać część fosy, a następnie, jeżeli będzie taka możliwość, wycofać się na dawne pozycje. Nikt jednak nie łudził się, że po czymś takim kohorta karna będzie jeszcze do czegoś zdalna, nikt też specjalnie się tym nie przejmował. Dezterterzy nie cieszyli się w 2 Armii jakimkolwiek poważaniem czy choćby współczuciem. Byli dla większości zdrajcami nieróżniącymi się niczym od tych, którzy właśnie bronili Canterlotu przed jego prawowitymi władczyniami.

W drugiej linii czekały na rozkazy kohorty 1 i 4 Legionu. Ich rola sprowadzała się do kilkukrotnie powtarzanego natarcia na bramę i jak najszybszego odwrotu z możliwie najmniejszymi stratami. Oddziały wyposażone zostały w sklecone poprzedniego dnia pluteje, drewniane tarcze zaopatrzone w koła, za którymi mogło się kryć do dwudziestu legionistów. Było to wielkie udogodnienie dla atakujących, osłaniały bowiem przed nadlatującymi z murów pociskami. Jediną przeszkodą mógł być ogień, ale szczęśliwie dla legionistów obrońcy nie posiadali nic palnego, co mogliby wykorzystać przeciw plutejom.

Szczęście, że jednak nie zaatakowaliśmy z marszu... Contrail nawet nie chciała sobie wyobrażać, do czego doszłoby bez tych prowizorycznych tarcz. Mniejsza już o niezadowolenie władczyń przedłużającym się oczekiwaniem na szturm, siła ich władzy zależała tylko i wyłącznie od tej zgrai dumnie spoglądającej na ich najnowszy łup. W ogóle co to jest, żeby księżniczki pchały się do dowodzenia. Od tego są generałowie, nie one...

Do dowództwa podleciał lekkobrojny pegaz-goniec, wylądował tuż przed generał Contrail i zasalutował.

– Pani generał, turmae 15 i 16 są na stanowiskach.

Lighting skinęła głową, z zadowoleniem rejestrując kwaśną minę Typhoona zawiedzionego najwyraźniej, że to nie jemu został zdany raport. Oddziały pegazów zostały podzielone. Turmae 17 i 18 zostały w obozie jako straż w razie “wycieczki” obrońców (które

po prawdzie nikt się nie spodziewał), a 15 i 16 stały w trzeciej linii atakujących, tuż za plecami 4 Legionu. Ich zadaniem miał być atak szarpany z powietrza na obrońców, a w razie konieczności ubezpieczanie tyłów pozorantów. Ich walory szybkościowe były niezwykle pożądane przy tego typu akcjach. Generał Typhoon jednak najwyraźniej tego nie dostrzegł, czy raczej dostrzec nie chciał, bo jeszcze poprzedniego dnia wezwał do swojego namiotu centuriona Mint Taila na dość tajną rozmowę.

Nadchodził już umówiony czas na rozpoczęcie szturm. Trzeba było ściśle trzymać się planu i zaatakować odpowiednio wcześniej, odciągając obrońców od okolic Baszty Nocnej. Najlepiej, żeby Yellow Spark nie napotkała najmniejszego oporu, przecież nie licząc bandy dezertów, wojska miały przetrwać w jak najlepszym stanie...

Lighting Contrail zaczęła się pocić, nagle zdenerwowanie zaatakowało jej nadwyreżony zwiadamiający umysł. Ciało zaczęło nieprzyjemnie swędzieć i gryźć, nie dając się skupić na najważniejszym. Szturmie. Chyba już była pora... ale czy na pewno? Co, jeśli ruszą przedwcześnie? A za późno? Wtedy będzie jeszcze gorzej...

Zarzuciła ze zdenerwowaniem różową grzywą, rozejrzała się z zaniepokojeniem na boki. Jej wzrok padł na Typhoona. Ogier patrzył prosto na nią, świdrował lodowatym, kpiąco-złośliwym uśmiechem. Odwróciła czym prędzej wzrok na dużo bardziej przyjemne kohorty. *Już czas? Chyba tak... ale na pewno? Jak zaatakuję za wcześnie, to może dojść do zbyt ciężkich walk i częściowej masakry, a jak za późno? Nie, nie, na pewno nie jest za późno... A jeśli jednak...?* Tupnęła dwukrotnie i przebiegła po raz kolejny po całej okolicy. Niecierpliwicy się z każdą minutą legionieści, gotowi do lotu posłańcy, cholerne księżniczki patrzące na jej najdrobniejszy ruch, wykrzywiony pysk Typhoona... Nagle zrobiło jej się strasznie gorąco, choć przecież ranek był chłodny, przed oczyma jej pociemniało, błądzący strach spadł na jej grzbiet, omal nie przewracając na wilgotną trawę. *Atakować czy nie?! Jak będzie za wcześnie, to... Kurwa, walić to!!!*

– Goniec! – Ona tu dowodzi i sama wie najlepiej, kiedy przyjdzie czas na atak! – Do centuriona Browna, niech jego kohorta rusza! – Pegaz zasalutował i wzbił się błyskawicznie w powietrze, kierując w stronę najdalej wysuniętego w przód oddziału.

– Generałowie. – Lighting odwróciła się, przyjmując nagle wyniosły wyraz pyska. – Rozpoczynamy szturm!

Centurion Brown patrzył spod na wpół przymrużonych powiek na rozciągający się przed nim krajobraz. Zielona, oczyszczona deszczem z kurzu trawa, białe mury obronne z niepasującą kolorystycznie, porfirową Bramą Czerwoną, sterczące w powietrze złociste iglice i poprzedzający wszystko ciemny rów. Canterlocka fosa, w której pływało chyba wszystko, co kucyki podczas swej długiej historii zdążyły stworzyć. Były więc przegniłe wozy, zardzewiałe broje, niepotrzebne dachówki, zużyte kryształ magiczne, połamane deski, lampy uliczne, mnóstwo rosnącego na dnie wodnego zielska i oczywiście sukcesywnie wywożone poza miasto odpady. Wszystko to miało w założeniu z czasem spłynąć nurtem

rzeki, ale część pozostawała, zalegając na dnie i ciekawiąc canterlockie tałatajstwo. Podobno rozchodziły się nawet legendy o ukrytych na dnie skarbach. Jednak śmiałkowie, którzy zaryzykowali ekspedycję na dno fosy, już nigdy nie wypłynęli na powierzchnię. Zaraz więc pojawiły się plotki o zamieszkujących tam potworach, wciągających niewinne kucyki pod wodę i pożerających jeszcze zanim zdążą się utopić. Mówiono więc o utopcach, o wodnikach, nawet słyszano o samym Rybim Królu, który znęcony łatwym łupem przypłynął z dalekiego południa, gdzie terroryzował mieszkańców, sprowadzając sztormy i połykając kąpiące się samotne żrebaki.

Przed ogierem wylądował zgrzany goniec, który zasalutował i przekazał rozkazy od generała Lighting Contrail. Centurion pokiwał smutno głową i nie zaszczycił już przybysza ani jednym spojrzeniem. On jeden czuł się odpowiedzialny za kohortę karną, współczuł jej. Część żołnierzy znał osobiście, o części tylko słyszał, ale była to i tak większa wiedza o własnym oddziale niż u niejednego dowódcy. Poznał i polubił znaczną część tych nieszczęśników, nieraz niesłusznie sprowadzanych jedynie do dezterów. A przecież było tam wielu innych. Indywidualistów, niemogących się pogodzić z wojną, z koniecznością obrony kraju, z koniecznością słuchania rozkazów wydawanych przed nierzadko niżej urodzonych. Rozumiał ich. Sam najchętniej rzuciłby całe to wojsko w cholerę i wróciłby do domu... ale brakowało mu odwagi. Nie chciał skończyć tak jak oni, wytraceni w jakiejś trzeciorzędnej walce, której można było uniknąć. Wystarczyłoby chwilę porozmawiać...

Centurion był zły na całe wyższe dowództwo, zwłaszcza od momentu, kiedy ujrzał pracowicie budowane pluteje. Poczuł się oszukany, jego oddział wcale nie był tu potrzebny, skoro był to tylko atak pozoracyjny, nie trzeba było zasypywać fosy. Generalicja zwyczajnie chciała się pozbyć niewygodnych "dezterów" i wysłać ich na rzeź... Nie była to jednak do końca prawda. Kohorta karna była istotnym punktem planu. Na kilka godzin przed przybyciem wojsk księżniczek, w dość niewyjaśnionych okolicznościach spłonął most zwodzony Bramy Czerwonej, uniemożliwiając dostanie się od tej części do miasta nawet po zdobyciu bramy bez uprzedniego zasypiania fosy. Jeśli chciano wprowadzić od tej strony wojska generała Lighting Contrail, trzeba było uczynić wypełniony rów przejezdnym.

Nie namyślając się wiele więcej, przystawił do pyska niewielką, pogiętą i porysowaną trąbkę i dmuchnął z całej siły. Jeden sygnał – naprzód, dwa – stop. Składnego odwrotu i tak nie przewidywano, a co najwyżej ucieczkę, więc nie było na niego sygnału.

Kohorta ruszyła, najpierw powoli, jakby niepewnie stawiając małe kroczki, z czasem przyspieszając niemal do galopu. Pierwszy atak na mury stolicy ruszył, wzbijając w powietrze chmurę pyłu i kurzu, poderwanych dziesiątkami kopyt z prowadzącej do bramy drogi. Brown, wyprostowany dumnie, przyglądał się nacierającym oddziałom, jego żołnierzom, gnającym na śmierć w bezsensownym ataku pozoracyjnym. *A przecież można było się dogadać...*

Nad miastem zagrały wypuszczane cięciwy, zaświszczały swymi purpurowymi lotkami strzały prujące błękitne niebo. Kohorta karna przyspieszyła jeszcze bardziej, tratując rosnącą im na drodze niską roślinność, wgniatając ją w porytą kopytami ziemię. Wystrzelone

przez obrońców pociski zaczęły spadać na nacierających, gdy ci już dopadli skraju fosy i zaczęli zrzucać do jej mętnej toni bele siana.

Ciemna chmura strzał opadła na kohortę, wbijając się w każdy odsłonięty kawałek ciała, przebijając cienkie kolczugi, rwąc skórę i mięśnie, grzęznąc w trzewiach. Strach opanował legionistów, próbujących zasłonić się przed deszczem strzał czym się tylko dało. Nieliczne jednorożce wyczarowały nad głowami prowizoryczne tarcze, które jednak zużywały zbyt dużo energii, żeby bronić dłużej niż przez kilka minut. Linia ustawiona przed skrajem fosy zaczęła się łamać. Żołnierze bez żenady zawrócili i nie licząc się z żadnymi rozkazami wydawanymi przez towarzyszących im dekurionów, rzucili się do chaotycznej ucieczki. Gnali ile sił w nogach, byle tylko uciec z zasięgu śmiertelnych łuków, niektórzy wciąż jeszcze niosąc na grzbiecie siano, pędzili w stronę przyglądającego im się Browna. Centurion uśmiechnął się, widząc powracający oddział. To nie byli bohaterowie, nikt bohaterstwa od nich nie wymagał, nikt ich też nie szanował, a oni wykonali swoje zadanie, odciągając chwilowo uwagę obrońców od wychodzącej właśnie z lasu generał Yellow Spark.

Na przedpolu zostało jednak sporo kucyków, które nie zdołały uciec. Najeżone strzałami, leżały w najróżniejszych pozycjach, część martwa, część wciąż jeszcze żywa. Wśród tych ostatnich czerwono-niebieska klacz. Antalek.

Yellow Spark usłyszała dźwięk bębnow zapowiadających atak dwóch legionów Sandstorma. Dobrze, wszystko szło zgodnie z planem, jej oddziały pochowane w starym, dębowym lesie były już gotowe do uderzenia. Słońce wychynęło już w całej okazałości zza horyzontu, oświetlając na razie jeszcze dość słabym światłem stolicę Equestrii. Żółknące od pewnego czasu liście i porastająca ziemię niska, seledynowa trawa nadawały scenerii niemal bajkowy wygląd. Klacz uśmiechała się od ucha do ucha, nie kryjąc swego zachwyty z krajobrazu ani przed oficerami, ani prostymi żołnierzami.

Stojący obok Sandstorm nie podzielał jej zachwyty. Nie dość że nie lubił poranków, to jeszcze od rana zamartwiał się o swoje dwa legiony, bezsensownie powierzone osobistemu dowodzeniu tej ignorantki Lighting Contrail. *Ta klacz pewnie nawet nie skończyła szkoły oficerskiej, a pcha się do dowodzenia. W końcu kto przyjąłby do tak znamienitej akademii plebs?* Była to kompletna bzdura. Lighting ukończyła szkołę z najwyższym wynikiem w ostatnim półwieczu.

Na samym przodzie, ukryte w krzakach, czekały kucyki z doborowego 2 Legionu, mające w pierwszej kolejności wdrzeć się do miasta. Zaraz za nimi stał legion jednorożców, którego zadaniem było przeprowadzić magiczne uderzenie na mury. Na końcu znajdował się 3 Legion z wyraźnie niezadowolonym dowódcą, cierpiącym na przerost ambicji i samouwielbienia. Yellow Spark sądziła zresztą, że większość kadry oficerskiej 2 Armii cierpi na coś podobnego, a zwłaszcza jeden posunięty w latach pegaz...

Klacz denerwowała się jak rzadko kiedy. Rzadko kiedy bowiem powodzenie całej operacji zależało właśnie od niej i jej mocy magicznych. Celestia osobiście wyznaczyła ją do

tego zadania, co było niespotykanym wyróżnieniem, jeśli by się jej udało, zdobyłaby sławę i szacunek równe największym equestriańskim bohaterom. Może nawet zostałaby namiestnikiem jednej z prowincji? Może Stalliongradu? Wprawdzie słyszała, że była to wyjątkowo podła dziura, ale z drugiej strony graniczyła z prowincją Manehattan, zarządzaną przez jej krewnych, ród Don of Spark... *Nie czas na dywagacje!*

– Sandstorm, już czas. – Nie siliła się na oficjalny ton, kiedy nie było takiej potrzeby. A już szczególnie nie w stosunku do tego ogiera.

Generał skinął głową i odwrócił się, rozsyłając gońców do poszczególnych kohort. Tymczasem Yellow Spark ruszyła w stronę legionu jednoroźców, by osobiście poprowadzić go do ataku. Siedzący do tej pory pod drzewami i odpoczywający przed walką żołnierze zrywali się teraz i czym prędzej udawali w stronę formujących się sztyków. Kłacz kluczyła między patrzącymi pod nogi, przyodziewającymi ostatnie kawałki zbroi i w pośpiechu zakładającymi hełmy kucykami, by w końcu dotrzeć na sam skraj lasu, przed którym rozciągała się wolna od zabudowań przestrzeń porośnięta niską trawą. Rzuciła krytycznym okiem na rozpościerające się miasto i nie czekając, dała znak dwóm adiutantom. Przenikliwy dźwięk trąbek rozdarł powietrze pośród rzadko rosnących drzew, podrywając w powietrze stado spłoszonych ptaków.

Armia wyszła z gęstwiny, majestatycznie ciągnąc trzema kolumnami w stronę Canterlotu. Maszerująca na czele środkowej z nich Yellow Spark zastrzygła ze zniecierpliwieniem uszami, nie mogąc już doczekać się chwili burzenia fortyfikacji. Gdzież im było do potęgi manehattańskich murów, tamtych nie naruszyłaby i sama księżniczka Celestia, a co dopiero zwykły jednorożec. Wprawdzie wielce utalentowany, ale jednak...

Kolumny zaczęły stopniowo przyspieszać, żołnierze coraz bardziej niecierpliwili się przedłużającym marszem. Część z nich głośno zaczęła snuć opowieści, czego to nie dokonają, dobywając miasta, co zazwyczaj spotykało się z falą śmiechu towarzyszy.

– Nie wierzysz?! – Yellow dosłyszała naraz piskliwy głos maszerującego zaraz za nią ogiera. – Zaraz zestrzelę tamtego strażnika. Taka odległość to żaden problem.

– Do nikogo nie będziesz strzelał bez rozkazu! – Drugi głos, nieco bardziej z lewej strony. Był dużo niższy, lekko zachrypnięty. Należał do któregoś z centurionów, kłacz nie była pewna, do którego...

– Trafiłbym go...

– Milczeć!

Yellow Spark, zaintrygowana pewnością bijącą z głosu młodego ogiera, odwróciła głowę, zaszczycając go przelotnym spojrzeniem. Nie wyróżniał się niczym spośród maszerującego tłumu. Dość niski, buntowniczo wykrzywiony ogier o ciemnoniebieskiej sierści i tylko nieco jaśniejszej grzywie.

– Twierdzisz, że trafisz tamtego strażnika? – zapytała przyciszonym głosem generał.

– No pewnieeee... – Otworzył gębę ze zdumienia i zamilkł zmieszany, czując na sobie wzrok dowódcy. – Proszę mi wybaczyć, pani generał, ja tylko...

– Nie pieprz tyle. Pytałam, czy w istocie jesteś w stanie go zestrzelić?

– To znaczy... ja... sądzę, że tak. – Wyprostował się i spróbował uspokoić oddech. Nie udało się...

– No to na co czekasz? Chcesz, żeby cel ci uciekł? – Yellow uśmiechnęła się zagadkowo, patrząc na błędną jednoróżca. Legionista machnął głową i spojrzał błagalnie na centuriona, licząc po cichu, że ten jednak karze mu się wstrzymać. Ale rozkazu generał Yellow Spark się nie kwestionowało, a młody ogier zdawał sobie z tego sprawę.

Nie czekając tedy dłużej, wybiegł na kilkanaście metrów przed kolumnę, wylewitował przed siebie łuk i jedną strzałę i stanął w miejscu. Nałożył pocisk rowkiem na cięciwę i naciągnął ją z cichym skrzypnięciem wyginającego się drewna. Uniósł łuk w powietrze, celując wysoko ponad czubki górujących nad miastem iglic i zamarł, oddychając ciężko. Mógłby stać tak w nieskończoność, nie ruszając się ani o milimetr, ale nie miał na to czasu. Kątem oka zerknął na powiewające nad przechodzącą obok kolumną flagi, lekko przesunął broń w lewo, korygując tor lotu strzały i wypuścił cięciwę. Pocisk zasyczał, delikatnie prując świeże, pachnące jesienią powietrze i zataczając ogromną parabolę, ugrzązł w piersi małej figurki samotnego strażnika.

Łuczniczka uśmiechnęła się delikatnie pod nosem i nie kryjąc dumy, odwrócił do z wolna podchodzącej Yellow Spark. Klacz odwzajemniła uśmiech, wprawiając żołnierza w jeszcze większy zachwyt, i skinęła głową.

– Godne pochwały. – Generał ewidentnie była dumna, że posiada prawdziwego strzelca w legione. Widziała minę maszerującego obok Sandstorma i wiedziała, że szybko tego widoku nie zapomni. – Masz prawdziwy talent, chłopcze. Ale teraz odsuń się i patrz na prawdziwe fajerwerki. – Nie mogła nie przypomnieć o swoim zadaniu, nawet zwykłemu legioniście.

Klacz skinęła kopytem w stronę towarzyszących jej centurionów i nakazała utworzenie szyku bojowego. Żołnierze zakotłowali się, ustawiając w trzy rzędy. Pierwszy stanowił doborowy 2 Legion "Wielka Equestria", drugi – dumny legion jednoróżców, a trzeci, jak zwykle ponury, 3 Legion "Harmonia".

Z murów poleciało kilkadziesiąt strzał, szybko jednak powstrzymanych przez wycarowane naprędce tarcze. Przesuwające się na szczycie fortyfikacji nieliczne figurki wyglądały wyjątkowo żałośnie w porównaniu z prowadzoną przez żółto-fioletową klacz potęgą.

Wokół Yellow Spark powstało szerokie koło zwróconych w jej stronę jednorożców, które, rozjarzywszy swe rogi, poczęły przesyłać wąskimi, świetlistymi nitkami wiązki energii wprost do rogu generała. Stojąca pośrodku klacz przymknęła oczy w najwyższym skupieniu i zaczęła przejmować kontrolę nad otaczającą ją coraz potężniejszą magią. Nigdy nie była specjalnie wybitnym czarodziejem, ale zaklęcia ofensywne opanowała po mistrzowsku.

Yellow Spark skupiła otaczającą ją energię na samym czubku rogu, czując, jakby właśnie ustawiła sobie na jego szczycie sztabę żelaza. Olbrzymia moc ciążyła jej niesamowicie, próbowała się uwolnić, nie dawała utrzymać w całości. Wokół głowy klaczy rozbłysła drobna błyskawica, zaraz po niej następna i jeszcze jedna. Z końca rogu sygnął się strumień jasnożółtych iskier, niemal od razu gasnących w powietrzu. Yellow zaczęła głośniej oddychać, jej boki zaśnieżyły potem, a po chwili pokryły się pianą. Głowę przeszył nagły strumień bólu, wywołany zbyt dużym stężeniem energii magicznej, jednak klacz wciąż nie straciła koncentracji.

Wymaglinowana złocista kula zaczęła materializować się tuż nad głową generała, błyskając wyskakującymi z jej powierzchni na wszystkie strony błyskawicami. Zebrani wokół żołnierze ze strachem zaczęli odsuwać się w obawie przed trzeszczącą w powietrzu magią. Magia zdolną zabić każdego, kto nieopatrznie podejdzie zbyt blisko.

Kolejna myśl Yellow Spark zaczęła się urzeczywistniać. Kula, wirując wokół własnej osi, wzniosła się nad głowy legionistów i ruszyła w stronę bielejących murów Canterlotu. Klacz skupiła się na kolejnej części planu, wybierając cel pocisku. Trzeba było pokierować nią tak, aby nie dokonała zbyt poważnych zniszczeń fortyfikacji. Księżniczce Celestii bardzo zależało, żeby stolica była jak najszybciej gotowa do przyjęcia możliwego ataku niespokojnych sąsiadów. Jaśniejąca kula przyspieszyła, świecąc coraz przenikliwiej nad przemykającymi w dole żdźbłami traw, sycząc donośnie, przebijając powietrze, i uderzyła w mur tuż powyżej ziemi.

Ogłuszający huk rozszedł się po całym mieście. Nagła fala uderzeniowa wywołana niespodziewanie silną eksplozją natarła na spoglądające w unoszący się nad ziemią słup ognia oddziały, rozburzając grzywy i syjąc w oczy kurzem, trawą i najróżniejszym pyłem. Nad całą okolicą rozlała się czarna chmura dymu i poderwanej ziemi, przysłaniając na moment blask słońca. W miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stał mur miejski i górująca nad nim Baszta Nocna, ziała teraz ciemna dziura, z wolna wypełniająca się wodą z rozbitej fosy. Żołnierze stali, nie mogąc się poruszyć ze zdumienia, i wpatrywali w miejsce eksplozji. Kilku podbiegło do generała Yellow Spark, pragnąc złożyć gratulacje, jednak klacz jeszcze nie skończyła czarów i nie zwróciła na nich najmniejszej uwagi.

Wyężdżając wszystkie siły, zebrała całą unoszącą się nad miastem ziemię i gruz z rozbitej konstrukcji i formując ją w bezkształtną chmurę, skierowała nad powstałą wyrwę i zaczęła zrzucać na ziemię. Cały zebrany gruz legł na dnie fosy, tworząc w jednym miejscu wąską i z wolna rozmakającą groblę. Jeżeli armia miała się po niej dostać do miasta, musiała się spieszyć.

Dopiero teraz Yellow po raz pierwszy od dłuższego już czasu otworzyła oczy i spojrzała na swoje dzieło zniszczenia. Pokręciła z dezaprobatą głową, zupełnie nie zważając na słowa pochlebców. Mur leżał w gruzach na odcinku niemal dwudziestu metrów, jedna z wież przestała istnieć, do tego na co najmniej dwa razy większym odcinku przerwano fosę. Zniszczenia były zbyt duże... Ale nie to teraz się liczyło!

– Legioniści, do ataku! – Krzyk rozszedł się daleko ponad oddziałami, uwalniając falę energii.

Żołnierze ruszyli w stronę powstałej wyrwy w murze, zachowując szyki mimo rozpiekającego ich zapachu. Prowadzeni przez swych dowódców osiągnęli cel i po kilku minutach pierwsze oddziały wdarły się na grząską i zapadającą się pod kopytami groblę. Nieliczni pozostali w tym miejscu na murach strażnicy w panice rzucili się do ucieczki, kryjąc się przed przeważającymi siłami przeciwnika.

Yellow Spark na czele swojego legionu wpadła na groblę zaraz za ostatnimi żołnierzami 2 Legionu "Wielka Equestria". Rozchlapując na boki zamokniętą ziemię, potykając się o wystające gruzy, wbiegła na wąską uliczkę jednej z biedniejszych dzielnic miasta. Stojące blisko murów kamienice rozleciały się w drzazgi pod wpływem niszczycielskiej fali uderzeniowej. Najbliżej stojący gmach stracił całą fasadę i straszył teraz odsłoniętymi pokojami i potrzaskanymi meblami. Ulica zasypana była tonami potrzaskanych kamieni, usypanymi w niewielkie zwały i piętrzącymi się pod zrujnowanymi ścianami i stertami drewna.

Yellow rozejrzała się na boki. Wśród tłumu żołnierzy dostrzegła kilku mieszkańców, próbujących schronić się wśród ruin domów. 2 Legion ruszył bezzwłocznie drogą równoległą do murów w stronę Bramy Czerwonej. Dziesiątki kopyt rozbijały utwardzaną drogę, wzbijały w powietrze chmurę pyłu, z daleka ogłaszając swoje przybycie. 4 Legion udał się w przeciwnym kierunku, ku miejskiemu arsenałowi. W przeciwieństwie do ich kolegów poruszał się o wiele wolniej, bez entuzjazmu i zapachu. Yellow Spark poprowadziła swój oddział prosto przed siebie w stronę górującego nad miastem pałacu. Nikt inny, tylko ona miała zdobyć siedzibę władcy Equestrii.

W tym samym czasie Sandstorm przebił się już na drugą stronę miasta. Podzielił swoje oddziały, wysyłając mniejszą część na mury, a samemu prowadząc większą grupę ulicami, zaczął metodycznie wybijać stojących mu na drodze obrońców. Z niecierpliwością wyglądał Bramy Czerwonej. Legioniści zaczęli rozlać się po całym mieście i płądrować okoliczne kamienice, zapominając zupełnie o konieczności zdobycia bramy.

Ogier ze złością podniósł wzrok, szukając górującej nad zabudowaniami czerwonej wieży, jednak jedynym, co dostrzegł, był przelatujący nad miastem oddział pegazów. Zamrugął ze zdziwieniem oczami. *Czyżby Lighting Contrail przebiła się bez jego pomocy? Nie... niemożliwe.*

Puszczona szczytem murów centuria wdarła się do kolejnej baszty i starła się z obrońcami. Ich liczba gęstniała z minuty na minutę. Ewidentnie zostali ustawieni do obrony

najslabszego odcinka murów, pozostawiając resztę samemu sobie. Nic zresztą dziwnego, nie było już komu stanąć do obrony...

Sandstorm wysforował się przed szereg i wpiąwszy w chwytak miecz, natarł na nadbiegających z naprzeciwka obrońców. Był to jakiś większy oddział, liczący co najmniej stu żołnierzy. Ogier sądził, że miał za zadanie pilnować od wewnątrz wejścia do Bramy Czerwonej, jeśli ta zostałaaby wreszcie zdobyta. Zaalarmowany o przebiciu murów przez przeciwnika, najszybciej zareagował i pierwszy przybył na spotkanie legionu Sandstorma. Jednak nie tego się spodziewał...

Zaskoczeni liczbą atakujących obrońcy zatrzymali się w miejscu i chcieli rzucić do panicznej ucieczki, ale było na to za późno. Pędzące środkiem ulicy centurie Sandstorma dosłownie zmiotły ich z powierzchni ziemi, roznosząc na ostrzach mieczy i nadstawionych włóczni.

Tymczasem atakujące szczytem murów oddziały napotkały nagle skomasowany atak przeważającej liczby obrońców. Zepchnięci do defensywy napastnicy wycofali się do wąskiego przejścia we wbitej w mury wieży. Zatarasowali przejście ułożonymi w stertę trupami poległych i wdrapali się na sam szczyt, skąd zaczęli szyc z łuków w kierunku przeciwników.

Sandstorm, niezadowolony z poczynąń obleganych i w obawie przed całkowitym rozpełznieniem się 2 Legionu po mieście, przyspieszył jeszcze bardziej, zmuszając podwładnych do niemal morderczego galopu.

Przemykając między niskimi, zaniedbanymi kamienicami i kręcącymi się na wszystkie strony mieszkańcami, legion wpadł na szeroki plac, rozciągający się wokół przysadzistej Bramy Czerwonej. Stojące wokół budowle były nieco wyższe, bardziej reprezentacyjne niż te, które mijali do tej pory. Na środku, otoczona co najmniej setką żołnierzy stała nieduża, przedstawiająca trzy kucyki fontanna.

Sandstorm wypadł na sam środek placu, wprost na zaskoczonych obrońców. To już nie była ta zbieranina, z którą rozprawił się przed paroma minutami, ci wyglądali na co najmniej doświadczonych najemników. W pełnym oporządzeniu, półpancerzach i w rynsztunku prezentowali się nie gorzej od jego własnych żołnierzy. Zaraz też zostali zaatakowani przez idące na czele 2 Legionu centurie. Podążające z tyłu oddziały zaatakowały tymczasem Bramę Czerwoną, wdzierając się przez niestrzeżone drzwi na wąskie, kręcone schody. Pierwsi żołnierze, którzy wyłamali prowadzące na piętro, obite metalem drzwi, padli jak dłudzy pod ciosami zaalarmowanych hałasem strażników, ci jednak nie dali rady przeważającej liczbie napastników.

Legioniści podzielili się na kolejne dwie grupy. Pierwsza, a zarazem mniejsza, została na piętrze i zajęła się kołowrotem podnoszącym opuszczoną bronę, większa zaś pobiegła dalej, by wymieść wszystkich obrońców z Bramy Czerwonej.

Równocześnie na placu Sandstorm rozprawił się z niedobitkami czekających tam obrońców. Jedyne źródło oporu stanowili teraz obrońcy na murach, nieudolnie próbujący przebić się przez zatarasowane przez centurię Sandstorma przejście w wieży. Ale i oni powoli dogorywali, otoczeni przez 2 Legion, nie mając gdzie się wycofać.

Naraz na ulicach zaroilo się od mieszkańców, którzy opuściwszy domy, zaczęli ostrożnie zbliżać się do wojsk Sandstorma. Nieco zaniepokojeni przemykali między legionistami w sobie tylko znanych kierunkach, część prawdopodobnie w poszukiwaniu krewnych, reszta z czystej ciekawości. Generał z zaciekawieniem zaczął obserwować tę istną wędrowną kuców, ze zdenerwowaniem rejestrując kilku szabrowników. Bezcelność! Mogliby przynajmniej chwilę poczekać, a nie od razu zabierać się za rabowanie zwłok.

Jeżeli zaraz coś się nie wydarzy, to dojdzie do harataniny!, zauważył ze zgrozą, widząc już rodzący się konflikt między grupą obdartych mieszkańców i dwoma legionistami.

Do niczego poważnego na szczęście nie doszło, gdyż w tym samym momencie z jękiem rozwarły się ciężkie, odrapane wrota bramy, a na murach ostatni obrońcy rzucili broń, poddając się 2 Legionowi. Do miasta z wolna zaczęła zdążać długa kolumna, prowadzona osobiście przez generała Lighting Contrail.

Plac rozbrzmiał wrzaskami ogarniętych euforią legionistów. Udało im się, po raz kolejny pokonali przeciwnika, zdobyli stolicę Equestrii. Nikt i nic nie było w stanie ich powstrzymać. Zaraz też do ogólnej wesołości dołączyli mieszkańcy Canterlotu, nauczeni doświadczeniem, że niezależnie od wszystkiego bezpiecznie jest otwarcie popierać najsilniejszą grupę. Po chwili zjawili się kilku śpiewaków, którzy zaintonowali jakąś ochryplą piosenkę, szybko podchwyconą przez samych żołnierzy.

Radosny nastrój nie udzielił się bodaj tylko jednemu kucykowi. Opierającemu się o czerwieniejący w blasku słońca mur, w zachłapanym krwią napierśniku ogierowi. Saganowi. Patrzył ze strachem w stronę leżących na przedpolu trupów żołnierzy kohorty karnej. Czy była wśród nich Antałek? Czy może jednak przeżyła i maszerowała właśnie ramię w ramię z generałem Contrail? Wpatrzył się uważnie w leżące pośród trawy ciała i dostrzegł ruch. Coś poruszało się, kręcąc czerwieniejącą głową. Serce забиło mu mocniej, nie pomyliłby tej grzywy z żadną inną, to była ona.

Nie namyślał się długo. Może i Antałek była cholernie lekkomyślną idiotką, skora do alkoholowych ekscesów, ale była jego przyjaciółką. Jediną przyjaciółką w armii. Poderwał się do galopu i ku zdziwieniu kilku stojących obok legionistów, wypadł poza bramę i po usypanym uprzednio przez kompanię karną wale przedarł się na zewnątrz murów. Na ratunek rannej klaczy.

To jednak wciąż jeszcze nie był koniec walk o miasto. Dokładnie po przeciwnej stronie rozpętała się walka o pałac. Nie była to jednak taka walka, o jakiej myślała, wysyłając tam jednorożce, księżniczka Celestia czy posyłający pegazy Typhoon.

Powietrzem wstrząsnął potężny wybuch, po którym lecącą centurią wstrząsnęła z potworną siłą fala uderzeniowa. Ogluszający huk zakłócił w uszy wytrącone z równowagi pegazy i do reszty zaburzył ogląd sytuacji.

– Co to było?! – Jet Set ze strachem rozejrzała się na boki. Przed chwilą, ciśnięta nagłym podmuchem, omal nie zderzyła się z lecącą obok niebiesko-białą klaczą. Night Glider.

– Tam! – wskazała równie wstrząśnięta towarzyszka. W dole, z lewej strony w powietrze wystrzeliła jaskrawopomarańczowa chmura ognia i czarnego dymu, zakrywając sobą kawał muru i kilka najbliższych przecznic.

– Sukinsyny... Już zaczęli zabawę. – Night Glider pokręciła z niezadowoleniem głową.

– Też mi zabawa... – Jet ustabilizowała wreszcie lot i na powrót zbliżyła się do niebieskiej klaczy. Przed wylotem centurion Mint Tail podzielił ich na pary, które jakoby miały ułatwić przedostanie się za mury pałacowe. Jak się okazało, kremowa klacz została przydzielona do nieco nadpobudliwej Night Glider, czym wcale się nie zmartwiła. Perspektywa spędzenia ataku w towarzystwie któregoś ze współlokatorów namiotu nie była specjalnie miłą perspektywą. Pegazy te ewidentnie ignorowały obecność Jet Set, udając, że jej nie ma. Może nie było to najgorsze wyjście, ale mimo wszystko klacz wolą zachować choćby minimalne oznaki komunikacji.

Centuria przeleciała nad rozpościerającym się szerokim kołem centrum miasta z wyrysowaną szachownicą ulic i wleciała nad prowadzącą do bram pałacowych aleję. Z góry Canterlot wyglądał jak wymarły. Mieszkańcy ewidentnie pochowali się po domach, chroniąc przed oblegającymi miasto siłami księżniczek.

– Patrz! – Night wskazała w dół na przemykające między kamienicami kucyki. Jet zmrużyła oczy, z niepokojem wpatrując się w prowadzony przez Yellow Spark legion jednorożców. – Chyba chcą się z nami ścigać do pałacu!

– Chyba nie mają szans!

– Pewnie, że nie! Dawaj, Jet, pokażmy im, co potrafią pegazy z Centurii Śmierci! – Night już chciała popędzić ile sił w skrzydłach, ale powstrzymał ją ostrzegawczy głos towarzyszki.

– Opanuj się! Centurion raczej nie będzie zachwycony!

– Że niby Mint Tail?! He he! Nie znasz go, Jet, w ogóle go nie znasz! – Zaniechała jednak popisów i leciała dawnym tempem, podśmiewając się pod nosem z powolnych jednorożców.

Oddział przemknął nad centrum Canterlotu i wyhamował nad rozciągającym się w dole pałacem. Strzegący siedziby księżniczek żołnierze byli zabezpieczeni od ataków z powietrza poprzez wijący się nad murami spadzisty dach. Mint Tail rozejrzał się ostrożnie, analizując każdy kawałek budowli. Jeśli chcieli dostać się do środka najszybciej, jednocześnie unikając zmasowanego ostrzału obrońców, musieli lecieć w stronę jednego z nieprzystosowanych do obrony z powietrza dziedzińców. Ta droga była teoretycznie najbezpieczniejsza, ale w praktyce oznaczała wpakowanie się w sam środek zajętego przez przeciwnika pałacu. Ale nikt z Centurii Śmierci nie bał się takiego wyzwania, nie takich rzeczy już dokonywali.

Oddział zapikował ostro i błyskawicznie znalazł się na wysypanym białym żwirem dziedzińcu pałacowym. Jak nietrudno było się domyślić, zostali szybko dostrzeżeni przez obrońców, którzy podzieliwszy się uprzednio na dwie grupy, ruszyli im na spotkanie. Większa część popędziła szerokimi korytarzami pałacowymi, mając nadzieję na jak najszybsze odnalezienie napastników, mniejsza zaś pozostała na stanowiskach, obserwując z coraz większym strachem zbliżający się legion Yellow Spark.

– No to czas się zabawić! – Night Glider wyrwała miecz i zawinawszy nim nad głową, poleciała za wdzierającym się do jednej z wielu reprezentacyjnych sal Mint Tailem.

– Spokój – zgasił ją ogier. – Dzielimy się na dekurie i wymiatamy wszystkich, którzy staną nam na drodze. Walkiria, leć, oczyść pierwsze piętro piętro, Missile, lecisz ze mną na bramę, tam powinno być ich najwięcej...

Jet więcej już nie słuchała. Głos Taila zagłuszył głośny krzyk stojącej obok żółto-czarnej klaczy, Walkirii.

– Słyszeliście! Ruszać się, pozbądźmy się tych skurwielii!

Oddział posłusznie ruszył za swoją dowódczynią i wleciawszy na piętro, ustawił się w szyk. Z przodu w powietrzu unosiła się Walkiria prowadząca grupę, zaraz za nią szczerzyły się gniewnie brązowo-żółta Valhalla, zielono-różowa Victory i białoszary White Raven. Współlokatorzy namiotu Jet Set. Dalej była czwórka pegazów, których imion klacz nie знаła, a sam koniec stanowiła właśnie ona w asyście Night Glider.

– Bez kombinowania, czyścimy całą kondygnację! Musimy to załatwić szybko i dokładnie, ten pałac jest w chuj wielki, a nie możemy dopuścić, by te rogate buce dostały się do środka, zanim nie staniemy na szczycie bramy! Do roboty!

Ruszyli przed siebie szerokim, jasno oświetlonym korytarzem. Wysokie, sięgające niemal sufitu okna wpuszczały ogromną ilość światła. Legioniści po kolei otwierali drzwi ostrymi kopnięciami w poszukiwaniu kryjących się rebeliantów. Nikogo jednak, poza grupką wystraszonych dworzan, nie znaleźli.

Dekuria wyleciała zza załomu korytarza, zbliżając się do połączonych niewielkimi mostkami z gmachami mieszkalnymi murami pałacu. Kolejne drzwi wypadły z zawiasów pod potężnym uderzeniem Valhalli.

– Księżniczkom nie spodoba się pałac pozbawiony wszystkich drzwi – zauważył trzeźwo White Raven.

– Walę je. Jak coś im się nie podoba, to niech same zdobywają tę dziurę! – Rozczochrana Valhalla wywaliła z impetem kolejne drzwi. – To do niczego nie prowadzi! Nikogo tu nie ma!

– Bądźcie czujni, oni mogą się chować za każdym rogiem.

– Gównu wiesz, Walkiria. – Victory również nie podobała się walka z drzwiami. – Pewnie już dawno zwiali. Powinniśmy zaatakować bezpośrednio bramę, a nie latać jak idioci po pustych korytarzach!

– Ha! Co jest, Victory, boisz się pustych przestrzeni?! – zadrwiła Night Glider.

– Zamknij pysk...

– Cisza! – Walkiria odwróciła się ze złością i wbiła przeszywające spojrzenie prosto w Night Glider, która jakby w ogóle tego nie dostrzegła, wciąż uśmiechała się wyzywająco. – Nie potraficie przez kilka minut trzymać języka za zębami?! Zbliżamy się do tej zasranej bramy, więc skupcie się, do kurwy nędzy, bo zaraz...

– Milcz, Wal, idą! – dekurion przerwał White Raven, wskazując zbliżające się na końcu korytarza kucyki.

– Wreszcie... – Jet Set zmrużyła oczy i oblizwała dolną wargę.

– No, wreszcie. Przygotować się!

Oddział ustawił się w poprzek korytarza, szczelnie go blokując, gotowy na przyjęcie ataku. Walkiria nie miała jednak zamiaru czekać. Rozłożywszy skrzydła, odbiła się potężnie od wyłożonej wypolerowanymi, białymi kafłami podłogi i ruszyła w stronę rebeliantów. Zaraz za nią do lotu poderwała się reszta dekurii, od rana spragniona walki.

Jet Set wyszczerzyła zęby w nieprzyjemnym uśmiechu, widząc nagłe przerażenie malujące się na pyskach wroga. Udało jej się na chwilę zapomnieć o wydarzeniach z poprzednich dni. Walka pochłonęła ją całkowicie.

Oddział Walkirii wbił się w czoło nacierających przeciwników, kładąc trupem cały pierwszy szereg. Jet, zatopiwszy ostrze w piersi najbliższego kucyka, poderwała się czym prędzej w górę, unikając wystrzelonej w jej stronę włóczni. W szeregach przeciwnika nie było ani jednego pegaza, co w znaczący sposób ułatwiało dekurii zadanie. Klacz zawróciła

nad korytarzem, który nagle wydał jej się trochę ciasnym, i runęła na powrót w wir walki. Jedno szybkie cięcie w prawo i błyskawicznie sparowanie cięcia z lewej. Kolejny przeciwnik w drgawkach rozpląszczył się u jej kopyt. Atak, błyskawiczny unik i atak. Klinga ze zgrzytem wbiła się w napierśnik drobnej, miodowej klaczy, rozszarpując metal, targając ciało. Przeciwniczka z cichym piskiem upadła na posadzkę, brocząc śnieżnobiałe płyty posoką.

– Jak my mamy wszystkich znaleźć w tym labiryncie?! – zawołał White Raven w przerwie między kolejnymi ciosami. Zawinął mieczem nad głową i ciął w odsłonięty grzbiet młodego ogiera. Klinga z trzaskiem wbiła się w ciało, kończąc jego życie.

– Walić wszystkich! Ważne, żeby zdobyć bramę! – Walkiria cięła zasłaniającego się magią jednorożca. Jaśniejąca tarcza pękła, a klinga zatopiła się w bezbronnym ciele. – Centuriona reszta nie obchodzi!

– Mówiłaś, że mamy wyczyścić kondygnację!

– Względnie! Chuj tam, jeśli ktoś przeżyje! Nic na siłę, Raven, nic na siłę!

Oddział pokonał rebeliantów bez większych problemów. Jediną stratą okazała się utrata prawego ucha przez Valhallę. Klacz, kłnąc dosadnie, w locie przewiązywała głowę odciętym zawczasu kawałkiem czerwonej tuniki.

Po korytarzach zaczęło biegać coraz więcej nobliwych kucyków, ewidentnie współpracujących do niedawna z Marvelousem. W stronę jednorożców poleciały jedno za drugim wyzwicka, ktoś nawet ośmielił się wystrzelić zielonkawą promień, który, minąwszy Jet Set, roztrzaskał kamienną ścianę, żłobiąc weń okrągły otwór.

– Skurwiele. – Victory już chciała się rzucić w pościg za umykającym agresorem, ale powstrzymała ją stanowcza Walkiria.

– Zostaw ich! Mamy inne zadanie niż uganianie się za cywilami!

Kolejne drzwi wypadły z zawiasów pod naporem poszukujących obrońców pegazów. Tym razem ich oczom ukazała się niewielka, ale niezwykle zadbana sypialnia. Jej granatowe ściany nadawały pomieszczeniu tajemniczy, ponury charakter.

– Czysto!

Kolejne wyważone drzwi i kolejne pomieszczenie. Coś na kształt salonu, wyposażonego w kilka czerwono-złotych kanap i imponująco bogaty, kryształowy kandelabr. Ktoś jeszcze przed momentem tu był, leżał na jednym z posłań, wyraźnie je wygniatając i mnąc zwiewne przykrycie.

– Lecimy stąd! – zakomenderowała Walkiria, odwracając się do wyjścia. – Hej! Słyszycie mnie?! – zawołała, widząc całkowity brak reakcji podkomendnych.

– Czekaj chwilę. – Night Glider z niekrytym pożądaniem wpatrywała się w stojący w kącie złoty puchar. – Coś sobie weźmiemy i wychodzimy.

– Chyba żartujesz? Okradniesz własne władczynię?! – Nie tego spodziewała się Walkiria po swoich podkomendnych. Na pewno nie tego.

– Nikogo nie będziemy okradać – zaoponowała stojąca pod ścianą zielonkawa klacz, której imię było Jet nieznane. – Od kilku miesięcy nie dostajemy żołądu. Za darmo robić nie będziemy!

– Do cholery, uspokójcie się! – Dekurion zakłęta pod nosem i podeszła bliżej swych żołnierzy. – Słuchajcie – zaczęła pojednawczo. – Zostawcie to, zdobędziemy miasto, znajdziecie sobie coś cennego u bogatszych mieszkańców, ale teraz mamy co innego do roboty.

– Nie! – ryknęła Night Glider. Walkirię замуrowało. Owszem, jej żołnierze od zawsze byli butni, ale tak obcesowa odmowa wykonania rozkazu jeszcze się nie zdarzyła. – Nikt nie robi za darmo! My też nie!

– Hańbisz naszą jednostkę! Nasi towarzysze walczą teraz pod murami, a ty chcesz rabować?

– A co to w ogóle za argument? Pieprzę ich. Patrz tylko! – Night porwała stojącą na wspaniałym, inkrustowanym stoliku malachitową figurkę i wcisnęła w kopyta unoszącej się w powietrzu dekurion. – To twój zaległy żołąd, wszyscy wiemy, jak jęczałaś na jego brak. Weźmiemy sobie po jednej “pamiątce” i idziemy dalej mordować.

Walkiria z ociąganiem spojrzała na głębokozielonego, pasiastego jednorożca. Figurka była piękna. W delikatnie rzeźbionych kształtach odbijało się wpadające przez drzwi światło, rzucając na pysk klaczy lekką, zielonkawą poświatę. Pokręciła głową z rezygnacją.

– Tylko się pośpieszcie! Musimy oczyścić pałac, zanim przybędzie tu Yellow Spark.

– Skąd ten pośpiech? – zapytała Valhalla, przebierając w szufladzie jednej z ustawionych pod ciemnoczerwonymi, chropowatymi ścianami szafek. Wysypała na środek pokoju kilka zwojów i rzuciła z zawodem pustą szufladę. Kilka kropel krwi skapnęło na nieskazitelny blat.

– Nie wiem. Tail mówił, że ma być szybko, to tak ma być.

– No tak, kto by się spodziewał – zadrwił po swojemu White Raven. Zaraz jednak stracił zainteresowanie czerwieniejącą Walkirią. W kącie, pomiędzy jedną z bardziej sfatygowanych, wygniecionych i wypłowiałych kanap a inkrustowanym biurkiem ktoś ustawił dwa świeczniki. Nie były jakieś świeczniki. Były to iście rzeźby, przedstawiające stojące dęba jednorożce wśród wszechobecnych liści akantu. Połączany metal błyszczał ponętnie w blasku porannego słońca.

Tymczasem Jet Set załadowała właśnie do niewielkich juk cały zestaw malachitowych figurek, ustawionych do tej pory na szczycie niewielkiej szafki. Po namyśle dorzuciła jeszcze stojącą obok rubinową figurkę smoka. Nie była to wprawdzie równowartość zaległego żołdu, a jakichś pięcioletnich zarobków samej generał Lighting Contrail, ale ta drobnostka w najmniejszym stopniu nie zbiła klaczy z tropu. Świadomość, że trzyma przy sobie coś, na co prawdopodobnie nigdy nie byłoby jej stać, jakby zupełnie jej nie obeszła.

– Dobra, skończyliście już tę błazenadę?! Możemy iść?! – Walkiria nie czekała na odpowiedź, tylko wyleciała co rychlej z obrabowanej sali na korytarz. Przyjrzała się z niemalym zainteresowaniem malachitowej figurce i mimowolnie uśmiechnęła pod nosem.

Obladowana kosztownościami dekuria wyleciała wreszcie z już dużo mniej imponującego salonu i ruszyła w dalszą drogę, wywalając co chwila drzwi z zawiasów. Zdaje się, że Victory i White Raven założyli się, które z nich zdewastuje większą część zamku, bo prześcigali się w głośnym otwieraniu kolejnych pomieszczeń. Radosne “czysto” rozbrzmiewało co chwila nad głowami pegazów lecących ku łączących gmach pałacowy z murami mostów. Ku bramie, którą mieli zdobyć.

Generał Yellow Spark stała na środku otoczonej szpalerami drzew alei i z niezadowoleniem wpatrywała się w powiewającą na szczycie bramy pałacowej flagę legionu pegazów. Oczywiście, Typhoon musiał skomplikować jej zadanie. A przecież jeszcze wczoraj księżniczka powtarzała, że to oddziały jednorożców mają za zadanie przechwycenie zamku. W interesach samej księżniczki Celestii było wykreowanie Yellow Spark na bohaterkę i wyzwolicielkę Canterlotu. Głównie z obawy przed posądzeniem o faworyzowanie jednej z ras. Typhoon został zapamiętany jako kreator zwycięstwa pod Hydashoofem, ona miała zostać zdobywczynią stolicy, a i na Sandstorma przyszedłby czas. Ale nie, dureń musiał wysyłać własnych legionistów i przeszkadzać w jej zadaniu.

Klacz pokręciła z dezaprobatą głową i odwróciwszy się, zerknęła przelotnie na stojące za nią w bezładzie siły. Żołnierze, wyraźnie radzi z krótkiego postoju, nie próżnowali, opróżniając okoliczne kamienice z co cenniejszych skarbów. *Jak tak długo postoiimy, to żołdactwo wyrabuje całe miasto...*

– Centurionie Green Spell. – Zielony, starszy już jednorożec podbiegł, słysząc wezwanie. Jego zbroja była pogięta w kilku miejscach, widocznie ochroniła go już niejedną raz. Ogier znany był w armii jako ten, który w pojedynkę rzuca się przeciw całej centurii. – Wyznaczy pan kilku legionistów, którzy razem ze mną pójda porozmawiać z tą bandą, a sam zbierze resztę swojej centurii i czeka w pogotowiu. Pańscy legioniści bardzo mi się przydadzą. Zamek musi być nasz przed przybyciem księżniczek i całej reszty armii!

Propaganda, ileż to od niej zależało. Jak bardzo była im teraz potrzebna. Yellow zacisnęła ze złości szczeki. Czy ten skrzydlaty skurwiel nie zdawał sobie sprawy z powagi

sytuacji? Czy za każdym razem myślał tylko o sobie? Przecież wykreowanie jej na bohaterkę oblężenia było niezwykle kluczowe w kontekście morale jednorożców! Ale nie, Typhoon musiał robić coś po swojemu, wbrew rozkazom dowództwa. *Jeśli myślał, że tą garstką pegazów powstrzyma mnie przed zajęciem pałacu, to się grubo mylił.*

Green Spell wrócił po kilku minutach z dziesiątką dumnie popatrujących legionistów. Ich juki wyraźnie wypchane były cudzą własnością, czego widocznie nie mieli zamiaru ukrywać, nawet przed własnym dowódcą. Klacz skinęła na centuriona głową i dziarsko ruszyła w stronę bramy zabezpieczonej potężną, obitą żelazem broną. Z umieszczonej wysoko nad szczytami okolicznych attyk hurdyjki wyglądały widocznie zaniepokojone wizytą generała pegazy. Yellow zatrzymała się tuż obok ostatniej z kamienic i spojrzawszy z kpiną na niedoszłych bohaterów, zawołała donośnie:

– Legioniści, jako generał wojsk Ich Wysokości rozkazuję wam otworzyć bramę! – *Ciekawe, czy będą na tyle głupi, żeby protestować...*

Na szczycie hurdyjki zapanowało widoczne z dołu ożywienie. Ktoś krzyczał coś o dowódcy, ktoś inny kłął dosadnie. Po chwili zza blanków wychyliła się zielona głowa ogiera. Kucyk zlustrował pobieżnie okolicę, po czym przecisnął się między szerokimi blankami i sfrunął lekko na dół, na spotkanie klaczy.

– Witam, pani generał. – Zasalutował i pokłonił się. – Proszę o wybaczenie, ale z rozkazu generała Typhoona mam zakaz wpuszczania kogokolwiek przed przybyciem Ich Wysokości.

Ta śmiała i cokolwiek brawurowa odpowiedź lekko zdumiała dotąd pewną siebie Yellow Spark. Mało który centurion był na tyle odważny, żeby wprost się jej sprzeciwić. Ten pegaz był albo wyjątkowo głupi, albo wyjątkowo chytry. Klacz spojrzała na niego z nieco większym zainteresowaniem. Niewielki znaczek z przodu jego pancerza przykuł jej uwagę. Trupia czaszka. A więc była to Centuria Śmierci... Dlatego ten dupek był tak pewny siebie.

– Generała Typhoona, powiadasz... Ja dysponuję rozkazami Jej Wysokości Księżniczki Celestii i mówię po raz ostatni – otwórz przede mną wjazd do pałacu. – Starła się, żeby jej głos był możliwie jak najłagodniejszy. Miała przy tym nadzieję, że butny ogier się nie zgodzi, chciała poniżyć najlepszą centurię pegazów, pokazać im, gdzie jest ich miejsce.

– Naprawdę bardzo bym chciał, pani generał, ale rozumie pani, mam swoje rozkazy. – Udał przepraszającą minę i pokłonił się jeszcze raz, zupełnie bez powodu. – Jeżeli pani pozwoli, wrócę już do swojej jednostki. – Rozłożył skrzydła na pełną szerokość, jakby chcąc tym zaimponować klaczy.

– Nie, nie pozwolę. – Yellow uśmiechnęła się najpaskudniej jak tylko umiała, a potrafiła to robić doskonale. – Jesteś nieposłuszny rozkazom swojej władczyni, a nieposłuszeństwo jest surowo karane. Ale dobrze, skoro jesteś pewien swoich racji, proszę wracać.

Ogier ze zdziwieniem spojrzał na odwracającą się od niego i wracającą w stronę swojej bandy Yellow Spark i pokręciwszy tylko głową, wzbił się do lotu.

Tymczasem klacz już zebrała wokół siebie centurię Green Spella oraz kilku innych dowódców. Nie marnując więcej czasu, Yellow Spark zaczęła wydawać widocznie zdumionym jednorożcom kolejne rozkazy. Nie było innego wyjścia jak co rychlejsze zdobycie pałacu i w miarę możliwości schwytywanie wszystkich pegazów. *To moje wojska muszą powitać księżniczki Celestię i Lunę w ich własnym pałacu!*

Prowadzona przez samą generał Yellow Spark centuria Green Spella wybiegła przed szeregi legionu jednorożców i stanęła pod samą bramą. Wyglądające zza blanków pegazy ze zdumieniem obserwowały, jak z rogów legionistów powoli zaczęły wydobywać się cienkie strużki światła i kierować wprost do Yellow. Klacz zaparła się tylnymi nogami, pochyliła nisko głowę, celując wprost w opuszczoną bronę i wystrzeliła oślepiająco złotym promieniem. Silna eksplozja targnęła murami baszty, w niebo poleciały drzazgi pozostałe z rozbitej brony i przepołowionych wrót, szyby w oknach pałacowych zadzwoniły, ktoś krzyknął głośno ze strachu.

– Pani generał! – Mint Tail wyskoczył poza bramę i zleciał najszybciej jak potrafił na dół. – Co pani robi?! Przecież...

– Milcz, żołnierzu! Jesteś winny nieposłuszeństwa Jej Wysokości Księżniczce Celestii! Podobnie jak cały twój oddział.

Mina pegaza nie była już tym samym wyniosłym uśmieszkiem, którym jeszcze przed momentem raczył klacz. Teraz był to obraz krańcowego zdumienia i strachu. *Niech diabli tego Typhoona, mówił, że Yellow Spark nie odważy się siłą przejąć pałacu...*

– Ten dalszy opór nie ma żadnego sensu – kontynuowała klacz. – Proszę natychmiast wyprowadzić wszystkich swoich żołnierzy i zameldować się u mnie!

– A... ale pani... – próbował jeszcze protestować, ale Yellow nie dała mu skończyć.

– Nie będę się powtarzać. – Jej głos był zimny, stanowczy, groźny. Mint Tail zamilkł, bąknął coś niezrozumiale i poleciał przekazać rozkazy żołnierzom.

Yellow pokiwała z zadowoleniem głową. Jednak potrafiła wzbudzić wśród legionistów coś na kształt szacunku. Klacz odwróciła się do swojego oddziału i rozpromieniła się, nie kryjąc radości. W końcu miała zostać bohaterką Canterlotu, a to nie była jaka rzecz. Nie było się jednak nad czym rozpyślać, trzeba co rychlej wydać odpowiednie rozkazy. Księżniczka Celestia już dawno zaplanowała swój powrót do stolicy i wszystko musiało pójść po jej myśli. Nie mieli więc wiele czasu, Yellow szacowała, że miasto ostatecznie padnie za maksymalnie godzinę, do tego jakieś drugie tyle na pośpieszne przygotowanie wjazdu tryumfalnego i już pochód stanie przed pałacem. Klacz rzuciła jeszcze raz okiem na zamek. Nie licząc rozbitej bramy, wyglądał wcale porządnie, tylko trzeba było usunąć tę paskudną flagę legionu

pegazów, a szczątki brony posprząta się tak, że księżniczki różnicy nie zauważą. Szkoda tylko tej bramy, w sumie była całkiem ładna...

Ulice Canterlotu wypełniły się rozentuzjasmowanymi mieszkańcami, z największą ciekawością przyglądającym się maszerującej szeroką aleją armii. Z okien kamienic wyglądały tysiące głów, spoglądając z wysoka na równe szeregi legionistów i tłoczącą się wokół gawieź. Z dziesiątek gardeł leciały pod niebo słowa najróżniejszych pieśni, bądź to radosnych, bądź przesadnie pompatycznych. Te jednak z trudem przebijały się przez wszechobecną wrzawę. Rozwrzeszczane kucyki pozdrowiały "wybawicieli", wymachując nad głowami czym tylko dali radę, starając się zwrócić na siebie uwagę pochodu, w szczególności jadących na połyskującym złotym rydwanie księżniczek.

Takich obrazków nie pamiętali nawet najstarsi canterlotczycy. Tryumfalny wjazd władczyni Equestrii do stolicy odbył się ostatnio nie wcześniej jak półtora tysiąca lat temu. Dlatego też nikt nie miał zamiaru przegapić tak wielkiej uroczystości. Księżniczki od pewnego już czasu obmyślały swój powrót do Canterlotu i zdołały przygotować się do niego.

Specjalnie wyznaczonym zawczasu oddziałom udało się uporządkować główną arterię miejską. Wcześniej dokonali niemal niemożliwego, powstrzymując żołnierzy przed wyrabowaniem tej części Canterlotu.

Celestia z szerokim uśmiechem patrzyła na mijane kucyki. Co któryś z poddanych został uraczony jej choć najmniejszym spojrzeniem, promieniał z zachwytu i z jeszcze większym zapalem wywijał trzymanym w zębach kawałkiem kolorowego płótna, zerwanym ze ściany mieszkania kilimem czy choćby starą czapką. Księżniczka musiała przyznać, że wjazd udał jej się lepiej, niż planowała. Jednak targanie tego przekłętego rydwanu przez pół kraju nie było pozbawione sensu. Tylko prawowity władca wjeżdżał na czymś takim do Canterlotu.

Na rozradowany pysk księżniczki spadło naraz kilka płatków róży. Celestia zaintrygowana spojrzała w górę i z zachwytem wpatrzyła się w wirującą nad nią różową chmurę. Na pierwszy rzut oka stwierdziła, że było to jedynie niezwykle dobre zakłęcie iluzji, nie prawdziwe płatki, jednak nie miało to dla niej wielkiego znaczenia. Co by nie mówić, czar odniósł zamierzony rezultat. Nie tylko księżniczka, ale i otaczająca 2 Armie gawieź wpatrywała się w niebo z zachwytem. Nawet niewzruszona zazwyczaj Świetlista Gwardia na czele z generał Green Flare zapatrzyła się w niecodzienne widowisko. Tak, wszystko szło bardzo dobrze...

Naraz rozległy się dźwięki wygrywanej muzyki. Tego nie zaplanowała księżniczka Celestia, któryś z mieszkańców musiał wygrzebać z domu jakiś instrument.

Maszerujące w równych szeregach oddziały 2 Armii promieniały coraz widoczniej niekrytą radością. Więc to był już koniec? Przecież sama księżniczka niejednokrotnie powtarzała, że zdobycie Canterlotu rozbije do reszty morale rebeliantów. Że to będzie kres

ich zbrodniom! Srebrzyste zbroje błyszczą w nienaturalnie ostrym świetle jesiennego słońca, odbijały tysiące promieni wprost w oczy rozradowanych mieszczan.

Księżniczka Luna obserwowała wszystko dużo mniej entuzjastycznie niż starsza siostra. Dla niej nie było czasu na radowanie się tak płonnymi zwycięstwami. To nie był koniec niczego, jak szumnie zapowiadała Celestia, to był początek. Podświadomie czuła, że Goldenrod może jeszcze naprawdę dużo namieszać. Przez ostatnie kilka dni zdołała sobie przypomnieć kilka bardzo niepokojących faktów dotyczących owej śnieżnobiałej klaczy. *Trzeba było jednak kogoś za nią wysłać. List gończy w opanowanym chaosie kraju jest główną wartą...* Do tego doszedł jeszcze Typhoon i jego dziwaczne zachowanie. Ostatnio cyrk z wieszaniem legionisty, a teraz samowolne wysyłanie żołnierzy, będące sprzeczne z wolą władczyń. Ten ogier nie nadaje się do dalszej służby. Szczęście, że Yellow Spark przejęła pałac bez większych trudności...

Luna powiodła swymi groźnymi oczyma po maszerujących legionistach. Doborowy 2 Legion "Wielka Equestria" na czele, zaraz za nim 3 Legion "Harmonia" i one w swym złocistym powozie. Odwróciła głowę. Pegazy prowadził wyraźnie zły generał Typhoon. Wpatrywał się w przestrzeń zabójczym wzrokiem. Widać bardzo chciał, żeby to pegazy powitały pochód w pałacu księżniczek, nie jednorożce. *Ten drań za dużo kombinuje, trzeba go jak najszybciej zwolnić ze służby!*

Młodsza z sióstr szybko jednak dała sobie spokój z porywczym generałem. Zbliżali się już do bram pałacu, przed którym ustawili się szpaler dumnie wyprostowanych jednorożców. Wracali do domu. W rozwartej na całą szerokość bramie widniała drobna sylwetka generała Yellow Spark. Luna pokiwała z uznaniem głową, klacz odwaliła kawał dobrej roboty, choć prawdę powiedziawszy, księżniczka liczyła na nieco mniejsze straty w murach. Wyrwa wyglądała co najmniej nieciekawie, przerwana fosa, rozbita do fundamentów wieża, wytrawiony do ziemi mur i wysadzone fasady okolicznych kamienic... *Nie, to nie czas na zamartwianie się takimi bzdurami! Najważniejsze, że zdobyto miasto przy niewielkich stratach własnych!* Jediną jednostką, która wyraźnie ucierpiała, była kohorta karna Browna, ale przecież ona właśnie od tego była.

W niebo poszybowało kilka jaskrawych promieni, które eksplodowały w powietrzu, tworząc kolorowe, z wolna opadające gwiazdy. Kolejna inwencja twórcza canterlotczyków. Radosna wrzawa nie miała końca, niosła się daleko poza wysokie mury stolicy Equestrii, na ogarnięte wojną pola i lasy. Luna spojrzała w niebo, zmrużyła oczy oślepiona blaskiem słońca i uśmiechnęła się delikatnie. Wracła do domu i już nie pozwoliła sobie odebrać.